# POLSKA WSPÓŁCZESNA



## ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK LITERACKO SPOŁ.

Styczeń-Luty 1939
Styczeń-Luty 1939 • Styczeń-Luty 1939 • Styczeń-Luty 1939 • Styczeń-Luty 1939 • Styczeń-Luty 1939

# POLSKA WSPÓŁCZESNA

ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK

ORGAN MŁODEJ INTELIGENCJI

WALCZYMY O WIELKĄ, SPRAWIEDLIWĄ I POTĘŻNĄ POLSKĘ
O WSPÓLNOTĘ SŁOWIAŃSKĄ, O KULTURĘ CHRZEŚCIJAŃSKĄ

Założyciel i naczelny redaktor: Jan Ferdynand Piskor Zast.: Dr Stan. Mazurkiewicz

Nr. 1-2 Rok IV KRAKÓW – KATOWICE – WARSZAWA – GDYNIA – LWÓW Styczeń-Luty 1939

## DREWNIANE KOŚCIOŁY ZAOLZIA

Na przyłączonym do Polski obszarze Śląska Zaolziańskiego, znajduje się pięć zabytkowych kościołów drewnianych, a to w Gutach, Marchlowicach, Nydku, Olbrachcicach i Praszywej.

Najstarszym niewątpliwie jest kościół w Gutach. Jest to wieś położona u podnóża Jaworowego Wierchu w Górach Jabłonkowskich. Znaki turystyczne od stacji Trzycież na Jaworowy, prowadzą koło kościoła, położonego na dolnym końcu wsi, w niewielkim jarze, wśród drzew. Rok 1563 widniejący na drzwiach do zakrystii oznacza niewątpliwie datę budowy. Obecna wieża pochodzi z r. 1781, jak to wynika z dokumentu odnalezionego w kuli wieżowej przy odnawianiu kościoła. Wieżę budowali Jan Duława z Gnojnika i Jan Molin z Rakowca. Nawa kościoła mierzy mniej więcej 7 metrów w kwadracie, tak że obejmuje ona przestrzeń mniejszą niż wieża w swej dolnej szerokiej części. Pułap w nawie jest płaski, w prezbiterium wklęsły. Od północy okien brak. Niewielka zakrystia znajduje się od północy, a dach prezbiterium spływa na nią i łączy się z sobotami, które obiegają cały budynek.

Chór kościoła pokryty jest malowidłami ornamentalnymi, wykonanymi w r. 1642 przez Szczepana Sowę z Nieborów. Jest to najstarszy zabytek malarstwa ludowego na Śląsku. W kościele guciańskim nie widać śladów jakichś późniejszych przeróbek, których ofiarą padło tyle starych kościołów. Mamy tu przed sobą typowy podkarpacki kościół drewniany w całej jego dawnej krasie.



Kościół w Gutach

Kościół w Nydku w powiecie Cieszyńskim z r. 1576 nie posiada na zewnątrz nic godnego uwagi. Dawniej kościółek ten miał soboty, z których jednak ani ślad nie pozostał. Wnętrze pozbawione nowych i zbytecznych sprzętów, ze stylowym ołtarzykiem barokowym w absydzie, jest jednym z tych intymnych wiejskich wnętrz kościelnych, tak bardzo odmiennych od architektury miast.

Kościół w Marchlowicach w powiecie frysztackim z r. 1739 należy do tego samego typu co kościół guciański, jednak późniejsze przeróbki odebrały mu do pewnego stopnia stylowy wygląd. W szczególności daje się odczuwać brak sobót od strony południowej.

Kościół w Olbrachcicach w powiecie frysztackim pochodzi z r. 1766. Charakterystyczną jego cechą jest to, że wieża jest w dolnej części zrębowa, gdy normalnie wieże są w całości konstrukcji słupowej. Poza tym kościółek ten nie odznacza się niczym szczególnym. Ogólne ukształtowanie bryły architektonicznej dowodzi, że formy tradycyjne, których takim typowym przedstawicielem jest kościół w Gutach, zaczynały już zamierać w XVIII wieku.

Kościółek na Praszywej Górze znajduje się na obszarze należącym niegdyś do powiatu frydeckiego. Mała ta budowla bez sobót i bez wieży nie wyróżnia się niczym, na uwagę zasługuje jedynie jej niezwykłe położenie na znacznej wyniosłości, wśród lasu, z dala od wsi.

Z pośród opisanych zabytków bezspornie największe znaczenie ma kościół w Gutach.

W całokształcie materiału zabytkowego naszego państwa będzie on zajmował przodujące miejsce wśród starych kościołów drewnianych.

**Mgr Franciszek Strzałko.**

Gustaw Morcinek

# Królewski dług

Nowela

Sławetny burmistrz miasteczka Wieliczki i zarządca królewskiej żupy obojga soli, bocheńskiej i wielickiej signor Prosper Provana, siedział w swojej świetlicy i mocno się głowił. Oto otrzymał pismo z królewską pieczęcią, z podpisem samego króla Stefana Batorego, żeby zechciał się wyliczyć z dochodów żupy wielickiej, rachunki przedłożyć i udokumentować je należycie.

Przez otwarte okno sączyło się do świetlicy brzęczenie pszczół, słodkie gędziolenie ptaków i daleki gwar ludzki.

Signor Prosper Provana odłożył gęsie pióro i zasłuchał się w tamte głosy. I z ulgą zmiarkował, że jak owe pszczoły za oknem krzątają się koło swego miodobrania, tak i jego gwarkowie krzątają się w tej chwili pod ziemią, łupią zwały soli, zwożą na taczkach sztolniami, bachmistrze zaś i sztygarzy popędzają ich żwawo, żeby urobek był szczodry. Z wieży szybowej dochodzi zaś suche skrzypienie kołowrotów, chrobocą drewniane szufle koło czterech panwi w warzelni, parskają konie i hałasują ludzie.

Uśmiechnął się z ulgą, w myślach bowiem ujrzał się podobnym do pszczelej królowej. Rychło się jednak zachmurzył, bo przypomniał sobie, żeć trudno mu będzie uiścić królowi barkaft z żupy wielickiej. Nachylił się przeto nad pergaminem i znowu jął medytować, kreśląc cyfry przeróżne. — Skrzypnęły znienacka ciężkie drzwi, do świetlicy wszedł pachołek.

— No co? — mruknął niechętnie signor Prosper Provana.

— Przybysz jakiś domaga się rozmowy z waćpanem, mości żupniku...

— Przybysz? Kto taki?

— Nie wiem, mości żupniku!... Italczyk jakiś lub Cygan. Czarny na gębie, łeb pełechaty...

— Italczyk? — zdziwił się burmistrz i znowu się uśmiechnął. Może to z Florencji, albo może z któregoś piemonckiego miasta, z jego ojczyzny?... A może z samego Turynu?... Święta Madonno! Może z samego Turynu?...

— Niech wejdzie! — rzucił skwapliwie i wstał spoza stołu. Serce jego dygotało ze wzruszenia.

Pachołek zniknął w ciemnej sieni, potem drzwi znowu się otworzyły, na progu stanął smukły, opalony młodzian. Stoi teraz przy drzwiach, w podartej odzieży, i widać wielce znużony drogą, bo opiera się plecami o ścianę. Czarna czupryna, młoda twarz i kosmata pierś pod rozwartą koszulą, wąski, orli nos, zaciśnięte usta i hardość w ciemnych, dużych oczach, przypomniały żupnikowi jego syna Leonarda, co gdzieś w świecie zaginął.

— Tyś Italczyk? — zapytał w swej mowie.

— Tak, łaskawy podesto! — odrzekł tamten również po italsku. Głos jego był dźwięczny.

— Z Torino?

— Nie. Z Firence...

Żupnik westchnął nieznacznie.

— Po co przyszedłeś? — zapytał znowu.

— Trzeba długo opowiadać... — rzekł przybysz i obejrzał się nieufnie.

— Możesz mówić! Nikt nas nie rozumie. Zmęczonyś?... Siadaj na ławie... Albo nie... Do drugiej izby proszę!... Chodź! — mówił żywo żupnik, nie mogąc pohamować wzruszenia, gdyż oto widzi przed sobą człowieka ze swojej ojczyzny. A może wieści jakoweś przynosi o zaginionym Leonardzie?...

Przeszli do drugiej izby, usiedli.

— Ktoś ty? — W jakiej sprawie przychodzisz? — zaczął niecierpliwie.

— Jam Bartolomeo. Potomek Gottfryda Fattinati de Janua z Genui... Tego, co był podestą krakowskim i żupnikiem królewskim. A któremu król polski, Władysław Jagiełło, 1205 grzywien groszy praskich był winien.

Zdumiał się signor Prosper Provana, gdyż znowu słyszy o tamtym długu królewskim. Wszak on to właśnie znalazł stary dokument w radzieckiej skrzyni na ratuszu wielickim, gdy burmistrzem został mianowany. Dokument był dziwny i niezrozumiały. O jakimś królewskim długu mówił. Że złożony w kopalni wielickiej. Syn Leonard noce trawił nad jego zrozumieniem. A potem przepadł bez wieści wraz z dokumentem!... Dziwne rzeczy!...

— Mów przeto, słucham pilnie... — rzekł żupnik. — Pomocy jakiej pragniesz?

— Pomocy!...

— Mów przeto!

Bartolomeo nachylił się nad stołem do żupnika Prospera Provany i zaczął mówić. Oto wędruje już od dwóch lat do chłodnej polskiej krainy. Gdzie on nie był!... W Rakusach

i nad Renem, potem w Pomeranii, gdzie bursztynem handlował. Szedł nieraz o głodzie, samotny i opuszczony. Pracował w kopalniach rudy żelaznej, srebrnej i miedzianej. Przeszedł wysokie Alpy, przewędrował nieurodzajne piaski brandenburskie, dygotał z zimna nad szarym, chłodnym morzem Bałtyckim. Potem szedł urodzajnymi łanami polskimi. Poznał różne kraje, poznał wiele ludzi. Ludzie byli hardzi i źli, łagodni i życzliwi. Jedni odpędzali go od progu, gdy mu głód dokuczał, drudzy przygarniali do siebie...

— No, dobrze już dobrze!... — przerwał mu niecierpliwie żupnik. — Lecz co z tym królewskim długiem?

— Proszę słuchać, łaskawy podesto... — rzekł Italczyk i znowu jął opowiadać. Oto w Olkuszu kopał srebro!... Znalazł je, posługując się czarodziejską **virgula furcata.** Potem przysięgę powiedział mając położone palce na kołowrocie nad swoim szybem. Na znak, że jego własnością jest ta odkryta żyła srebra, a gdyby tak nie było, niech ręka jego uschnie! Kopał potem srebro, lecz niedługo. Bo szpetni gnomowie, a o których już Pliniusz wspomina, zatopili jego żyłę srebra, on zaś ucieczką ratował swoje zagrożone życie w sztolni. To wszystko...

— No i co? — zapytał teraz Prosper Provana patrząc w oczy Bartolomea.

— Wszystko więc straciłem, przeto dzisiaj przychodzę po swoją spuściznę, łaskawy podesto...

— Nie rozumiem!

— Mówię wyraźnie! Po swoją spuściznę! Po ten dług, co król Władysław Jagiełło mojemu przodkowi był zwrócił.

— Niemądryś, Bartolomeo! — rzekł Prosper Provana. — Wszak już temu blisko 150 lat, jak król Władysław Jagiełło umarł. A jak mi wiadomo skąd inąd, twój przodek Gottfryd Fattinanti de Janua z Genui... Boże, świeć jego sprawiedliwej duszy!... Jak mi wiadomo, umierając, w testamencie sumę tę przekazał katedrze przemyskiej, za co po wieczne czasy msze święte miały być odprawiane za króla Kazimierza Wielkiego, za Ludwika Węgierskiego z Andegawenów, za królowę Elżbietę oraz za jego duszę... Nie ma więc tutaj żadnych pieniędzy!... Chociaż był inny dokument...

— Jaki? Jaki dokument?

— Eh... Nie warto!

— Zaginął!... Wraz z moim synem Leonardem zaginął!

— Czy był podobny do tego dokumentu? — zapytał prawie szeptem Italczyk wyciągając z za pazuchy zwitek pergaminowy. Rozwiązał włókno, roztoczył przed żupnikiem, położył na stole przytrzymując jego rogi dłońmi. Dłonie dygotały.

Żupnik schylił się, wpatrzył pilnie w wyblakłe litery i znaki. Nie, to nie ten!... Lecz podobny! Bardzo podobny!... Zwłaszcza te jakoweś znaki tajemnicze, niejasne...

— A skąd go masz? — zapytał znienacka.

— Był w dokumentach, com w spuściźnie po swojej matce otrzymał... A matka była córką Gottfryda Fattinanti de Janua z Genui alias Gottfryda Gallicusa... To był zupparius salis generalis. Oto w dokumencie tym napisane jest ręką jego syna, że dług królewski otrzymał... Oto, widzisz, łaskawy podesto!... Pieniędzy tych nie dał przemyskiej katedrze...

Żachnął się zgorszony Prosper Provana.

— Powiadasz, że nie dał? A zbawienie duszy jego ojca?

— Nie dał! — rzekł twardo Bartolomeo. — On te pieniądze, ten królewski dług ukrył pod ziemią, w salinie, w komorze... oto w tej... — mówił gorączkowo wskazując palcem na poplątane znaki i kreski. — Oto plan podziemia żupy wielickiej... Tu jest krzyżyk czerwony.... W tej komorze jest schowany dla mnie dług królewski... Dopomóż mi, łaskawy podesto, wydostać go spod ziemi!... Połowę ci daruję!... Podesto!...

Ognie uderzyły na Prospera Provanę. Połowę otrzymałby!... Miałby z nadwyżką na wypłacenie barkaftu dla króla Stefana Batorego, co oto pismo odręczne przysłał z upomnieniem! O Madonno święta!...

— Nie, nie!... — bronił się. Przecież już temu półtora wieku. Tylu żupników już było przed nim. Byli genueńczycy, byli florentczycy, byli Polacy, Żydzi i Niemcy, byli i piemontczycy... Ktoś już chyba znalazł te pieniądze! Zabrał!...

— Nie zabrali! — upewniał go Bartolomeo. Oto pisane, że komora z królewskim długiem zamurowana solnymi głazami, przed ludzkim okiem ukryta!... Nikt jej nie mógł odkryć!... Nikt, miłościwy podesto!...

Pod wieczór zstąpili do szybu. — Schodzili po oślizgłych drabinach, odpoczywali na bonach, zagłębiali się w chłodną czeluść szybu, a kaganki ich płonęły gromnicznym światłem.

Pod szybem, w ustronnej komorze, rozłożyli jeszcze raz stary plan saliny wielickiej i długo medytowali nad jego treścią. Potem ruszyli. Przodem kroczył Bartolomeo z planem w dłoni, raz po raz zaglądając na jego znaki, za nim zaś kroczył żupnik Provana. Wędrowali długo niskimi gankami, mijali wychudzonych i półnagich taczników, wlokących na taczkach solny urobek, mijali bachmistrzów, co batami popędzali gwarków do większego wysiłku, brodzili w gęstej, słonej wodzie, dyszeli z utrudzenia, gdyż powietrze było już tu ciężkie i mdłe. Stawali przed każdą komorą i na każdym skrzyżowaniu poprzecznych sztolni, porównywali je z planem, potem znów wędrowali. — Opuszczali się po stromych pochylniach, wychodzili po drabinach, kołowali, a rude ich światła błądziły po szarych ścianach, kroki zaś dudniły echem.

— Tu! — rzekł w końcu Bartolomeo, kiedy stanęli przed niszą zawaloną skalnym rumowiskiem. Kilka razy do niej nawrócił, mierzył drogę krokami, porównywał z planem, aż orzekł, że to istotnie tutaj.

Usiedli pod ścianą. Byli zmęczeni. Prospera Provanę gryzło sumienie. Oto idzie po pieniądze, które należą się katedrze przemyskiej! Te pieniądze zostały przecież ofiarowane Panu Bogu, a on zamierza je teraz za-

brać. Przecież to świętokradztwo!... Czy nie lepiej zawrócić?... Lub pieniądze wydostać i oddać, komu należą w testamencie przeznaczone?...

Potem Bartolomeo jął odrzucać bryły skruszonej calizny. — Żupnik świecił mu i szeptał jakieś zaklęcia. Trwało to bardzo długo. Potem Bartolomeo natrafił na złom solny. Zagradzał drogę wszerz. Pod złomem piętrzyło się rumowisko regularnych brył soli. Widać, że złom obsunął się kiedyś i rozgniótł mur postawiony z ociosanych kęsów soli. Bartolomeo opukał skałę kilofem, orzekł, że jej nie potrafi rozbić. Trzeba więc podgrzebać się pod nią, przekopać w rumowisku ganeczek.

— Po drugiej stronie jest komora... — szeptał żupnik.

— Jest! — przyświadczył Bartolomeo.

— ...a w komorze pieniądze!

— Tak! — przyświadczył znowu Bartolomeo.

Podkopywał się coraz głębiej, coraz dalej, a gdy w końcu brakło mu już miejsca na rozmach kilofem, odrzucił go za siebie i dłońmi jął wydzierać kęsy soli. Za nim stał skulony żupnik, świecił i patrzył zdumiony, jak Bartolomeo posuwa się co raz dalej w niskim ganku.

— Jest! — posłyszał w końcu stłumiony a radosny krzyk jego.



BAL PRASY

w Krakowie, w reprezentacyjnych salach Grand-Hotelu, połączony był z konkursem na „królową balu". Została nią p. Loda Korczyńska.

Żupnik poświecił głębiej. Bartolomeo wczołgał się pod głazem na drugą stronę. Teraz czerni się niski otwór.

— Jest!... Wchodź za mną! — słyszy z drugiej strony jego wołanie.

Żupnik położył się i zaczął się czołgać. Kaganek trzymał w dłoni i suwał go przed sobą. W pewnej chwili zdawało mu się, że głaz znowu się poruszył. Zmartwiał z przerażenia, wstrzymał oddech. Czuje jego chłodny ciężar na grzbiecie. Nie!... To tylko złudzenie!...

Kiedy już znalazł się w komorze, Bartolomeo podał mu dłoń, pomógł powstać.

— Patrz! Jest skrzynka!... słyszy żupnik wołanie towarzysza. Rozgląda się po ciasnej komorze i widzi, że Bartolomeo schyla się nad żelazną skrzynią, rdzą przeżartą, świeci, a światło jego dygoce. Postąpił do niego, poświecił...

— Leonardo! — krzyknął strasznym głosem.

Oto za skrzynią leży jego syn, Leonard!... Skulony, z białą twarzą, ze szklanymi, przerażonymi oczami...

— Jezus! Maria!... — krzyczy Provana i przypada do zwłok swego syna. — Mój Leonard! Mój Leonard!...

Zatoczył się teraz i runął na schylonego nad skrzynią Bartolomea. Bartolomeo odrzuca z siebie żupnika, otwiera skrzynię, zanurza dłonie w pieniądzach... Podnosi teraz głowę i widzi przerażony, że tamten ogromny głaz obsuwa się z łoskotem i zagradza im przejście.

# REALIZACJA PANORAMY OLSZYNKI GROCHOWSKIEJ

Możemy już być dzisiaj spokojni o realizację panoramy pamiętnej i krwawej bitwy na polach Grochowa, której namalowanie powierzono naszemu znakomitemu mistrzowi batalistycznemu Wojciechowi Kossakowi. — To zamierzone dzieło, które przedstawi patriotyczną ofiarność ludności Warszawy, brawurę bojową i nieugięte bohaterstwo wojska polskiego w walkach w czasie Powstania Listopadowego, spotkało się z najżyczliwszym zainteresowaniem i z najlepszą wolą Prezydium i Zarządu miasta Warszawy. Plan realizacji tego dzieła o charakterze monumentalnym, którego wykonanie jest nie tylko kwestią lokalnej potrzeby, ale i całej Polski, oparto na logicznych i mocnych finansowych podstawach. Zawiązało się Towarzystwo Akcyjne Budowy Panoramy Grochowskiej, które potrzebne fundusze na ten cel zbiera przez wypuszczenie 4 procentowych akcyj: gwarancję za nie daje m. Warszawa.

Panorama będzie umieszczona w specjalnie na ten cel zbudowanym budynku na gruncie odstąpionym przez miasto w Parku im. Paderewskiego na Pradze. Nie wzięto za tym pod uwagę pretensyj mieszczan grochowskich, którzy chcieli widzieć dzieło Kossaka zrealizowane w odległym od miasta Grochowie. Określono już i wytyczono teren sporych wymiarów pod mającą niebawem powstać budowę. — Administracją



Nieśmiertelne dzieło Wojciecha Kossaka — „Olszynka"

i konserwacją Panoramy Grochowskiej zajmie się Zarząd Miejski.

Należy z całym uznaniem podnieść, że decydujące czynniki w poparciu omawianej imprezy artystycznej kierowały się przede wszystkim zrozumieniem doniosłego zadania kulturalnego i artystycznego, jakie ona będzie spełniać, krzepiąc równocześnie w społeczeństwie ducha patriotycznego i narodowego, co jest pożądane a nawet konieczne. Poza tym Panorama Grochowska stanowić będzie bezwątpienia silną atrakcję w wielkim stylu tak dla stałych mieszkańców Warszawy jak i dla wycieczek i licznych rzesz turystów. Mając zaś na uwadze stale liczną frekwencję Panoramy Racławickiej Wojciecha Kossaka we Lwowie, która od pół wieku bezmała jest jedyną dochodową imprezą magistratu lwowskiego, należy przyjąć, że i to nowe dzieło panoramiczne naszego wielkiego mistrza batalistycznego, będzie również przynosić dochody i z sowitą nawiązką pokryje z czasem wyłożone na nie koszta. Trzeba dodać, że po wycofaniu swego kapitału, Towarzystwo Budowy przekaże Panoramę na własność miastu Warszawie.

Znaleziono już jak widzimy materialne podstawy do realizacji Panoramy Grochowskiej i Wojciech Kossak mógł przystąpić do wykonania swej artystycznej pracy, mając już cały plan swego dzieła opracowany tak w ogólnej koncepcyj twórczej jak i w najdrobniejszych nawet szczegółach ostatecznego wykonania.

Nie trzeba specjalnie podkreślać, że dziś w Polsce W. Kossak jest najbardziej ukwalifikowany do wykonania tego wielkiego zadania artystycznego. W swoim przebogatym dorobku malarskim może się pochlubić wspaniałymi panoramami Racławic i Berezyny i niezliczoną wprost ilością kapitalnych obrazów, budzących wizje dawnego rycerstwa i wojska polskiego epok ubiegłych aż do doby teraźniejszej. Są one tak sugestywne, że przez nie patrzymy na naszą sławną przeszłość.

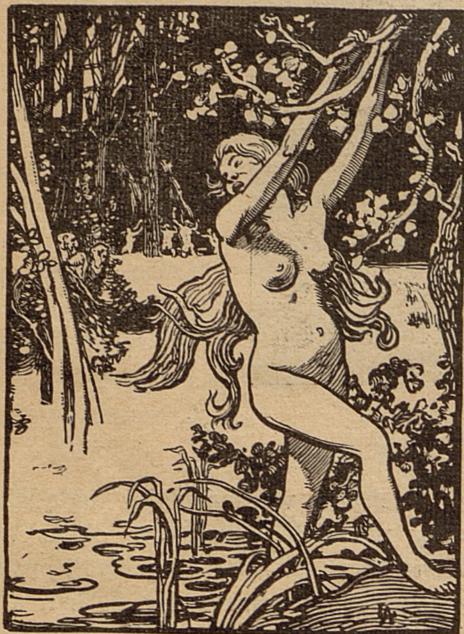
Imponująca sztuka Wojciecha Kossaka zakrojona na olbrzymią skalę przekracza w najsilniejszych swych emanacjach normę największych obrazów sztalugowych i znajduje dopiero w obrazach panoramicznych swój właściwy wyraz i swój szeroki gest malarski. Dowodem wielkiego rozmachu twórczego, witalnej energii i entuzjazmu w pracy znakomitego artysty jest wielka ilość płócien, jakie z pod jego pracowitych rąk i dziś wychodzą w krótkich odstępach czasu. Na jednej z ostatnich wystaw w Zachęcie warszawskiej, oglądaliśmy wielkich wymiarów obraz W. Kossaka p. t.: „Zajęcie pozycji przez artylerię" (przeznaczony do sali artylerii polskiej na Wawelu) namalowany brawurowo z młodzieńczym iście wigorem malarskim i mistrzowską techniką. Obraz ten stanowił prawdziwą atrakcję Salonu.

I gdy dzisiaj wolna Warszawa, milionowa stolica wielkiej Polski pragnie w swych murach widzieć kompozycję malarską o monumentalnym charakterze, najściślej związaną ze swoją własną, bohaterską przeszłością, wybór osoby twórcy zamierzonego dzieła nie mógł być trafniejszy. Nikt inny bowiem, jak tylko W. Kossak może się pokusić w malarstwie polskim o namalowanie panoramy o przekonywującym wyrazie plastycznym mającą dać syntezę malarską krwawego dramatu grochowskiego. Ten wielki mistrz batalistyczny tworzy swe porywające dzieła z potrzeby serca, wlewając w nie swe gorące uczucie i miłość dla naszych wiarusów. Dlatego przedstawia ich tak żywo, prawdziwie i plastycznie w swych pięknych obrazach, które są zrozumiałe i drogie całemu narodowi, bo przemawiają do jego najistotniejszych i najgłębszych uczuć.

**Dr St. Mazurkiewicz.**

# PIĘKNO SZTUKI

Zainteresowanie sztuką, jest niestety w społeczeństwie naszym bardzo słabe, a już jeśli chodzi o grafikę, to znikomy procent rozróżnia dzieło graficzne od zwyczajnego druku, jaki spotyka w codziennych pismach i publikacjach. Na wystawy chodzi u nas minimalna ilość osób, jedynie może w dniu otwarcia wystawy, dlatego, że mogą spotkać znajomych i jest okazja pogadania o wielu rzeczach, nic wspólnego nie mających z wystawą. Piszący był przez kilka lat kierownikiem artystycznym wystaw i miał okazję przypatrzenia się jak się to odbywa. — Zwiedzający przebiegają jak najszybciej sale, rzucając pobieżnie okiem na eksponaty, a od grafiki odwracają się traktując tę gałęź sztuki jako niższą, wymyślając od druków. Za daleko bym zaszedł krytykując ludzi, a tu nie oto chodzi. Chcę objaśnić i wytłumaczyć na czym polega to piękno czarno-białe i jakie są różnice w technicznym wykonaniu.



A. Lepére Drzeworyt

Przez tak często pretensjonalny, niekiedy bałamutny, a obecnie jarmarczny labirynt malarstwa sztalugowego przewija się jedna, ledwo dostrzegalna nić Ariadny. Nić subtelna, jak sen — intymna, jak prawda — pewna, jak wola — świadoma, czuła, jak sejsmograf — wrażliwa, jak odsłonięty nerw. Ta nić wyprowadzała zawsze paletę z labiryntu jej błędów, uczyła ją stylu, konstrukcji i wytworności.

Jest to europejska sztuka graficzna.

Kto ją wysnuł? Kto ją wyczarował? Kto jej dał kryształowe źródło poczęcia?

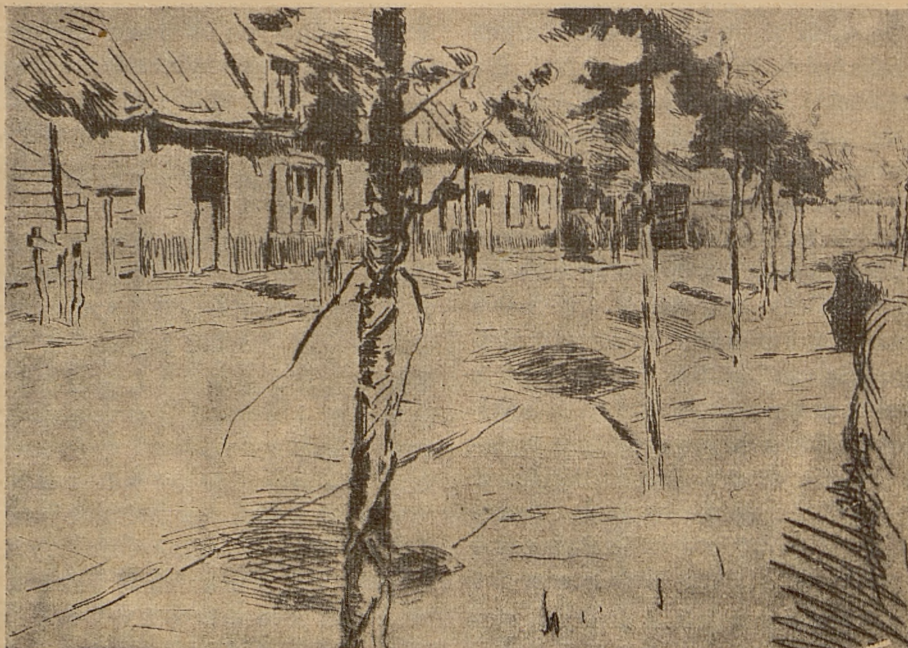
Błędem byłoby sądzić, że grafika wzięła swój początek mniej więcej w roku 1450, w roku narodzin sztuki drukarskiej, której ojcem — jak wiadomo — był Jan Gutenberg.

Bodajże drzeworyt był tą pierwszą jaskółką artystycznego grafiki objawienia. Drzewo bowiem było w one dawne czasy tym materiałem, który dłoni pragnącej wyrazić plastycznie myśl artystyczną, był najposłuszniejszy. Babilończycy, Egipcjanie, Grecy i Rzymianie pozostawili liczne monumentalne tego dowody.

Pod gruzami Babilonu, w grobowcach Teb, w Herculanum i Pompei potomność natrafiła na ślady grafiki, która była jednym z kapitalnych znaków świętych artystycznych porywów ludzkości w jej duchowym, jeśli z nowoczesnością porównując, rzec można, zaraniu. Nie była ona co prawda wówczas tym, coby w pełnym słowa znaczeniu uważać należało jako grafikę, to znaczy sztukę powielaną, lecz w każdym razie jej z mgieł wyłaniającym się zaczątkiem.

Szczupłość ram niniejszego felietonu, nie pozwala mi na wyczerpujący artykuł o rozwoju grafiki, zmuszony jestem przejść do opisania w skrócie wszystkich technik, ażeby czytelnika zorientować w nazwach i odmianach dzieł graficznych, jak: drzeworyt, miedzioryt, akwaforta, suchoryt, aquatinta, litografia i linoryt.

Ryt na drzewie, przy drzeworycie, który jest rytem wypukłym, artysta rysuje względnie ryje swój rysunek wprost na drzewie. Jeżeli ryje na podłużnym słoju drzewa, to ryje nożem i dłutem wklęsłym, jeżeli na pionowym słoju, ryje dłutem względnie rylcem ostrym. Tak wykonany ryt na desce odbija się z drzeworytu farbą wodną lub farbą tłustą drukarską na papierach specjalnie moczonych.



A. Baertsoen Suchoryt

# C Z A R N O - B I A Ł E J

W Polsce — aczkolwiek mamy w drukarstwie naszym drzeworyty tak stare, jak początki druku — większy rozkwit sztuki graficznej datuje się od początków XIX wieku.

Miedzioryt rylcowy, którego rozkwit przypada na wiek XVII, jest najprostszą i najstarszą techniką. Na płycie miedzianej grubości dwóch do 4 milimetrów, powleczoną warstwą kredową wykonuje się względnie zaznacza rysunek, po czym ostrym czworokątnym stalowym drążkiem, ukośnie ściętym — rylcem — żłobi się w miedzi linie. Trzeba mieć dużą pewność ręki, bo oczywiście poprawki są trudne, a często niemożliwe. Po zmyciu płyty i usunięciu wydobytych z miedzi przez żłobienie metalowych wiórek wciera się w blachę farbę, przykrywa wilgotnym papierem, na który kładzie się jeszcze dla wyrównania ciśnienia warstwę bibuły i filcu przepuszcza przez prasę. Farba z wgłębień płyty miedzianej przenosi się wtedy na papier — i miedzioryt jest gotów.

Technicznie rozpoznać można miedzioryt, wykonany rylcem, po prostocie i gładkości linii oraz ostrych jej zakończeniach. Zrozumiałym bowiem jest, że opór materiału, nie pozwala rytownikowi na dowolną kapryśność linii, zygzaki i nagłe skrzywienia, wszelka tedy zmiana kierunku dokonuje się łukowatym zaokrągleniem.

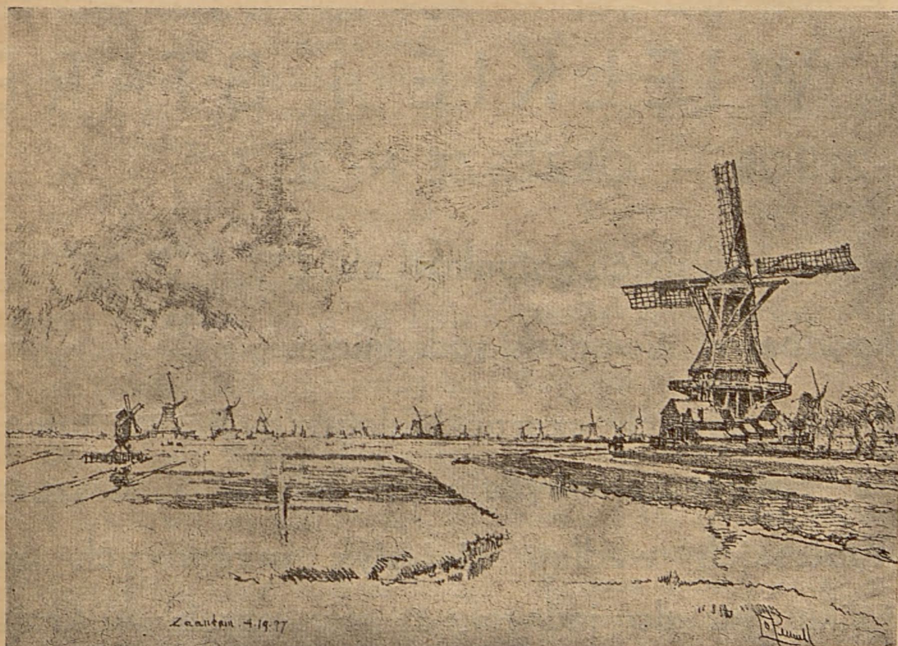
Wprost przeciwnie ma się rzecz z aquafortą. Technicznie wykonuje się akwafortę, powlekając płytę miedzianą werniksem, to zn. mieszaniną wosku, żywicy i asfaltu; na tak z preparowanej płycie rysuje się ostrą stalową igłą. Rysunek wychodzi wtedy wyraźnie na tle werniksu metalicznie czerwono, bowiem igła zdrapując werniks odkrywa metal. Po stworzeniu rysunku artysta zakrywa otwartą stronę blachy i jej boki rozpuszczonym asfaltem, po wyschnięciu zanurza w rozczynie kwasu azotowego. — Kwas rozpuszcza miedź w miejscach odkrytych igłą, powodując wgłębienie. Ten proceder powtarza kilkakrotnie. Różnice wgłębień poszczególnych linij — to zn. silniejsze lub słabsze jej znaczenie osiąga artysta, przykrywając w czasie trawienia przez kwas te części rysunku, które uważa już za dosyć wytrawione warstwą asfaltu płynnego, pozwalając trawić dalej części odkryte. Powtarzając ten manewr kilka razy, artysta osiąga wielką skalę odcieni od najdelikatniejszej linii szarej aż do głęboko wytrawionych, na odbitce ciemnych i mocnych.



A. Zorn — Akwaforta

Akwaforta umożliwia dużo większą swobodę, niż miedzioryt rylcem i posiada dlatego wielu zwolenników wśród artystów. Największą zaletą akwaforty jest to, że z tej samej płyty można przy umiejętnym nakładaniu farby otrzymać do 20 odbitek, każdą inną. W tym właśnie leży ten czar i ta tajemnica, czego nie posiada grafika użytkowa czyli mechaniczna. Bardzo piękne efekty osiąga się tak zwaną suchą igłą, rysując wprost na płycie stalową igłą i nie ścierając wyrzuconych wzdłuż rysowanych linij odwiniętych żeberek miedzianych. Natarłszy płytę farbą, otrzymuje się piękną odbitkę czarno-aksamitną. Sposób ten pozwala jednak z powodu rychłego zatarcia tylko na kilkanaście dobrych odbitek.

W XVIII wieku wynalazł jeden austriacki oficer nową technikę miedziorytu zwaną aquatinta. Na czystą płytę miedzianą sypie się równomier-



E. Pennell — Litografia

nie proszek asfaltu albo kalafonii i z lekka ją ogrzewa, przez co proszek przylepia się do płyty. Włożona do kwasu azotowego, płyta wytrawia się między poszczególnymi niezmiernie małymi ziarnkami proszku, co przy odbitce daje płaszczyznę ciemną — a nie linię. Pokrywając podobnie jak przy akwaforcie części płyty werniksem za pomocą pędzla, i w ten sposób broniąc dostępu kwasowi, można powtarzając to postępowanie, otrzymać cały szereg płaszczyzn w rozmaitych tonach. W ten sposób otrzymuje się piękne miedzioryty, w których poszczególne cienie i światła wydobywa się nie nagromadzeniem linii, ale plamami płaszczyzn. Bywają aquatinty podobne zupełnie do aquareli wykonanych sepią.

Rysunek na kamieniu litografią.

Do litografii bierze artysta płytę ze specjalnego kamienia wapienia jurajskiego, specjalnie wyszlifowaną, a następnie zmatowaną piaskiem szklannym lub korborundem dla uzyskania lekkiej groszkowatości powierzchni.

Na takiej płycie rysuje artysta kredką tłustą odpowiedniej twardości. Po narysowaniu polewa płytę roztworem gumy arabskiej w wodzie z dodaniem kwasu solnego i ten płyn rozpoczyna pracę trawiącą. — Tam gdzie płyta jest pokryta rysunkiem kredkowym farba chwyta, gdzie roztworem gumy — nie. Jest to jednak dopiero tak zwane pierwsze trawienie; po zmyciu kredy smaruje się płytę farbą drukarską za pomocą wałka, po czym można przystąpić już do odbijania i w niewielkiej ilości — autolitografii.

Oprócz kredki można rysować na płycie litograficznej także tuszem. Jest i to litografia pośrednia, przy której rysuje się na papierze kredką tłustą i przenosi się następnie ten rysunek na kamień pod silnym ciśnieniem. O dalszych szczegółach tych technik nie mogę tutaj mówić dla braku miejsca.

Jeszcze jedna z ostatnich technik, wynalazek współczesny — to linoryt; w miękkim materiale tnie się nożykiem tak jak w drzewie. Odbitki są grube i ordynarne; najczęściej używa się do afiszy w małych ilościach.

Innych technik graficznych jest zbyt wiele, żeby je można było tutaj chociażby najkrócej omówić. I tak to, co napisałem, wygląda w mojej interpretacji łatwe i proste, a w istocie jest skomplikowane i trudne.

Niestety w pojęciu ogromnej większości ludzi, sztuka została zepchnięta do rzędu tych spraw zbytkownych i nie potrzebnych, któremi interesujemy się dopiero wtedy, kiedy nie mamy żadnego zmartwienia. Zapominamy, że sztuka i zainteresowanie się nią jest dowodem kultury danego narodu czy epoki. Kiedyś za setki czy tysiące lat, ludzie którzy po nas przyjdą, będą nas sądzić według tego jaką sztukę wiek nasz po sobie zostawił. A sztuka kwitnąć nie może na gruncie obojętności społeczeństwa. Czy interesowalibyśmy się dziś Grecją, czy bliski byłby nam Rzym starożytny, czy wiedzielibyśmy coś o krajach, gdyby nie sztuka? Sztuka zostanie zawsze i przemawiać będzie językiem wiecznie żywym.

**Jan Rubczak.**




# GŁODNA ZIEMIA

Nowela

Wiatr wzmagał się, przechodząc szybko w jakiś ponury, dychawiczny śpiew. Czasem zdawało się, że ktoś dobija się gwałtownie do drzwi domu, wali w okna i szaleje w nagim sadzie. „Powiesił się kto, czy co?“, burknął Jasnoch, zbudziwszy się nad ranem na swym wyziębłym, brudnym barłogu. Westchnął głęboko, przeżegnał się i, wykręciwszy się twarzą do ściany, próbował drzemać. Ale sen gdzieś uciekł pod naporem dokuczliwych myśli.

Siedząc na dziewięciu morgach, mógł jeszcze żyć jako tako, ale od czasu sprzedaży najlepszego kawałka ziemi na opędzenie kosztów związanych z nauką Franka, zaczęła się prawdziwa bieda. Teraz już wszystko wali się, marnuje z dnia na dzień, wymyka się z garści i topnieje wprost w oczach. Wczoraj na przykład sprzedał resztę zboża na spłatę długu, w ubiegłym tygodniu sekwestrator zapisał krowę za podatek, a do tego w grudniu padł mu ostatni koń. Dzisiaj pojedzie sąsiedzką furą do młyna. Zawiezie trochę pośladu na mąkę, bo chleba nie jedzą już gdzieś od Godów, a dzieci męczą się, że aż litość bierze, kiedy się słyszy ich bezustanne skomlenia. Są głodne i obdarte okropnie. Odzież zleciała z nich prawie doszczętnie, ale najwięcej daje się we znaki brak butów. W jednej parze chodzą oboje z żoną, a drugą dzielą się dzieci...

W tej chwili w izbie rozległ się trzask, a zaraz potem krzyk. — Wawrzyniec Jasnoch siadł na łóżku (już szarzało) i splunąwszy daleko na klepisko, "cicho tam, szczeniaki!“ ryknął ze złością, ale wrzawa wzmogła się jeszcze. Trzy cienkie, gniewem i łzami nabrzmiałe głosy, sprzeczały się z sobą zajadle. Jasnoch znał doskonale przyczynę tej kłótni, która zdarzała się zresztą codziennie. Wiedział, że walka toczy się o buty.

— Dzisiaj ja idę do szkoły! — wrzeszczał Stasiek, usiłując wzuć na drobne, onucami poowijane nogi, ogromne, rozchlapane buciska, w czym przeszkadzał mu starszy brat — Wojtek. — Więcej już siedzieć nie chcę!...

— Oddaj buty Zośce, mówię ci, pókim dobry, bo na nią dzisiaj kolej. A jak nie, to popamiętasz mię jeszcze!...

— Zośka chodzi dopiero do drugiej klasy, to może poczekać. Po co ma się śpieszyć!...

— Dawaj... — piszczała przeraźliwie dziewczyna, starając się słabymi rękoma zedrzeć buty z nóg brata.

— Odejdź, bo dostaniesz! — ryknął Stasiek. Szybko zapiął postrzępiony kożuch, porwał jakąś książkę i wbiwszy ją w zanadrze, dopadł do matki, rozpalającej ogień pod kuchnią. Ale Wojtek był już przy nim. Wargi mu drżały z gniewu, a twarz zbielała, jak płótno. Podniósł w górę pięść, gotując się do ciosu.

— Mamo! — zapłakał Stasiek.

— Wojtek, daj spokój.

— Zzuj zaraz buty! — syczał Wojtek.

— Nie zzuję!

— Pytam cię po raz ostatni, zzujesz, czy nie?

— Nie!

— To masz! — krzyknął, uderzając brata pięścią w głowę, że ten zachwiał się i runął na komin. Podniesiony przez matkę, wytarł łzy, ściekające po twarzy, i pogroziwszy Wojtkowi szepnął:

— Chleba!...

— Skąd ci go wezmę, co? Dopiero dzisiaj ojciec zawiezie zboże do młyna. Masz tu dwa pieczone kartofle i idź prędko, bo się spóźnisz!...

Chłopak wybiegł z chałupy. Szybko minął ośnieżony sad i budynki. Za stodołą wszedł na wydeptaną ścieżkę, którą zawsze chodził do szkoły w Białej Woli, oddalonej od ustronia Jasnochów prawie o pół mili. Droga prowadziła przez puste pola, krzaki i dwa jary.

W twarz szczypał ostry mróz, ale Stasiek nie zważał na nic. Szumiało w nim bowiem szczęście, uczucie, jakiego zawsze doznawał, idąc do szkoły, zdobywszy naturalnie, poprzednio, buty. Więc i teraz chciało mu się krzyczeć, hukać i śpiewać w niebogłosy, by świat cały dowiedział się przecież o tej jego wielkiej niewypowiedzianej uciesze. Brnąc po śniegu, zabijał zgrabiałe ręce, raz po raz poprawiał barankową czapę, spadającą na oczy, gwizdał jakąś skoczną melodię i przytupywał w takt pieśni. A odgłos podkówek dzwoniących po zlodowaciałej grudzie, przypominał mu, że ma buty. Toteż walił z całej siły w wyboisty gościniec, jakby drogą sadziły sagowe konie. Uśmiechnął się zadowolony z siebie i zapiąwszy rozchełstany kożuch, skręcił w stronę głębokiego jaru. Wiatr przycichł nieco i śnieg przestał padać. Stasiek odgarnął spadające na oczy włosy i zaraz przeżegnał się machinalnie, bo spomiędzy obielonych gałęzi lip wyjrzała stara, trochę już pochylona Męka Pańska. Przystanął. Wzrok jego przylgnął do ośnieżonej, krwią poplamionej i wychudłej postaci Zbawiciela, rozpiętego w męce na krzyżu. „O, Jezu mój drogi, miły Jezusieczku, zmiłuj się nade mną i daj Franusiowi dla mnie buty!“ — szepnął — „Ale takie nowe, nowiuteńkie, jak na jarmarku w Garbowie!“ Raz jeszcze rzucił okiem na krzyż, przeżegnał się niezgrabnie i ruszył dalej, przedzierając się przez zaspy, piętrzące się na drodze.

Drogą nadbiegły rozkrzyczane dzieci. Większość z nich była źle odziana: dziewczęta zamiast ciepłych palt miały na sobie jakieś tanie, kolorowe chusty, a chłopcy maszerowali wesoło w jarmarcznych, przydługich kurtach. Wszyscy śmiali się, popychali i tarzali w miękkim śniegu. Z szumem, gwarem i brzękiem cała gromada wpadła w dziedziniec szkolny.

W białej, obszernej sali huczało,

jak w ulu. Trzydzieści pięć głów schylało się nad książką. Jasne, czyste, roziskrzone oczy strzelały kipiącym życiem. Proste, barchanowe sukienki paliły się swą jaskrawością na tle błękitnawych ścian, pokrytych obrazami. Z góry zwieszał się misterny pająk, utkany ze słomy i białej bibuły.

Wtem klasa przycichła, bo do izby weszła energicznym krokiem nauczycielka Zdańska, młoda, szczupła blondynka, o bladej, pociągłej twarzy i miłym uśmiechu. Na moment zatrzymała się na środku sali, (pod pająkiem) w milczeniu popatrzyła swymi szarymi i bardzo dobrymi oczyma na głowy dziecięce, potem spojrzała na obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, przed którym żarzyła się czerwona lampka oliwna i przeżegnała się głośno.

Po modlitwie zaczęła się nauka. Trzeci oddział czytał, gdy w czwartym praca odbywała się w ciszy. — Piegowata Stefka Gajówna, stojąc w ławce cięła monotonnym zawodzącym głosem sylaby. Klasa powtarzała za nią poszczególne słowa i całe zdania, pomagając sobie ruchem ust i głową. Nauczycielka poprawiała raz po raz czytającą, a wtedy szmer cichł na moment. Teraz wstał chudy Kacper, by dalej przeciągłym jękiem snuć opowieść o „mądrej pliszce i skąpej wiewiórce".



Tymczasem chłopcy z „czwartego", korzystając ze swobody, zaczęli grać „w pióra" i „szubienicę". W kącie wybuchła nawet poważna awantura. Władek uderzył kułakiem w bok Makolągwę za to, że ten „szachrował", ale Pietrek oddał mu w dwójnasób. Kaśka Reczkówna uszczypnęła Zośkę w łydkę, co zwróciło wreszcie uwagę pani.

Nauczycielka upominała, łagodnie godziła zwaśnionych, raz wstydziła, to znów po przyjacielsku karciła dzieci, kłócące się ze sobą. Pod wpływem jej dobrych, zawsze spokojnych słów, gasły spory, ginęły wzajemne urazy i objawy nienawiści.

Stasiek, pochyliwszy się nad zeszytem, pisał zadanie na temat: „Co zrobiłbym, mając milion?". — „Kupiłbym sobie zaraz nowe buty na jarmarku w Garbowie", nagryzmolił z niechęcią i odłożył na bok pióro, gdyż poczuł nagle piekący ból w gardle i dreszcz, przebiegający po krzyżu. Ujął ciężką, rozkudłaną głowę w dłonie i tak siedział bez ruchu, nie widząc już nic z tego, co działo się w klasie.

Obok niego zaś pisał Jasiek Pstrąg: „Mając milion, zakupiłbym zara wielgi dwór. Z końmi, bydłem, młocarnią i żniwiarką. Żeby mi było dobrze". Inaczej natomiast ujął swą odpowiedź Pietrek Makolągwa: „Gdybym miał milion, jadłbym sam biały chleb z kiełbasą. I zawsze byłbym syty", twierdził, a Kasia chciałaby mieć „pięć sukienek z prawdziwego jedwabiu, jak królewna Śnieżka". Andrzej Wałoch nabyłby „tysiąc samolotów dla polskiej armii, żebyśmy nie bali się już niczego".

Stasiek chciał uczyć się wiersza na pamięć, ale nie mógł, bo jakaś dziwna niemoc obezwładniła go zupełnie. W uszach miał szum, zgrzyty i świsty. Z trudnością łykał ślinę i trząsł się cały z zimna. „To wszystko z głodu!", pomyślał i, doczekawszy się wreszcie pauzy, sięgnął do kieszeni po spalony kartofel. Odgryzł kawałek, ale nie mógł przełknąć. Coś dławiło go w gardle. Tylko zsiniałe usta zadygotały, a w oczach ukazały się łzy.

Po skończonej nauce wlókł się noga za nogą do domu. Z trudem wyciągał ogromne buty z sypkich wydm śnieżnych, w pocie czoła przedzierał się przez zaspy, a droga dłużyła mu się, jak nigdy jeszcze. Przed figurą dopędził go zziajany Pietrek Makolągwa.

— Dobrze, że cię złapałem! — zasapał z nienawiścią nad głową chłopca i porwał go jednocześnie za ramię.

— Czego ty chcesz ode mnie? — skrzywił się Stasiek.

— Oto, czego chcę! — wrzasnął, uderzając go pięścią w twarz zsiniałą od zimna.

— Za co mię bijesz, fornalu jeden! — starał się bronić Stasiek.

— Tamto było za to, że nie chciałeś mię zasłonić, kiedy graliśmy w pióra! A to za „fornala!" — potężnym ciosem zwalił z nóg płaczącego chłopca i pobiegł dalej drogą, pogwizdując sobie wesoło. Gromada dzieci, wracających ze szkoły, zatrzymała się nad rowem, z którego starał się wygramolić Stasiek.

— Stasiek, ależ ty, jak straszydło! — chichotał Pstrąg.

— Śnieg masz w gębie! — dorzuciła Kasia.

— Otrzep się!

— Ale ci dał Pietrek, to dał!...

— Jutro powiem pani! — pisnęła pucułowata Hanka.

Stasiek stanął na gościńcu. Wyglądał naprawdę, jak straszydło. — Włosy miał zjeżone i rozczochrane okropnie, twarz pełną rozmazanych plam, usmarkany nos i opuchłe, zaczerwienione oczy. Pochlipując żałośnie, skręcił na boczną ścieżkę, wiodącą przez pola.

Zdziwił się, bo topole nadwiślańskie, zdobiące dworską aleję, poczęły mu w oczach tańczyć, jak żywe. — Ziemia wygięła się i zakręciła w kółko, niby odpustowa karuzela, na której jeździł raz w życiu z Franusiem będącym na wakacjach. „Czary, czy co?", bąknął i zatrząsł się ze strachu. Przycupnął na śniegu, za krzakiem tarniny i, otuliwszy się kożuchem, czekał, kiedy świat przestanie się wreszcie kołysać. Dla pewności

chwycił zgrabiałą ręką jakiś pręt, wyrastający z ziemi, wpił się weń kurczowo, z całej siły, by nie dać się porwać wirowi pól, wyprawiających najdziwniejsze łamańce. Powoli uspokajało się wszystko. Ziemia przestała już wariować, a jednocześnie znikły drzewa, znikł las, siniejący na widnokręgu, gdzieś roztopiły się tarniny i zapodziała wydeptana ścieżka, którą niedawno biegł do domu. Wszystko, to rozmazało się i została tylko biel, biel i biel, w której tkwił on jeden. Starał się przełknąć ślinę, a wtedy jakby go ktoś dźgnął nożem w gardło. Jęknął i jął zabijać zziębnięte ręce. Teraz było mu już cieplej. Poweselał nawet. „Jestem na czczo, myślał, i dlatego słaby. Trzeba sobie podjeść, a nogi polecą same!“ Długo nie mógł trafić do kieszeni. Wreszcie odnalazł nadgryziony kartofel i podniósł go do ust...

Zerwał się gwałtowny wiatr. Śnieg począł padać coraz gęstszy. Pola dymiły, jakby ktoś sypał mąkę z niebieskiego młyna. Kurzawa w mig zatarła wszystkie ścieżki i ślady. Zrobiło się biało. Nad ziemią przewalały się jęki, ryki i świsty. W górze słychać było nieustanny szum, jakby w pobliżu szumiały jakieś potężne drzewa. Ale topole zostały daleko w tyle.

Stasiek z męką podniósł się z ziemi i, chlipiąc gorzko, jął iść przed siebie. Nogi gięły się pod nim, w głowie huczało głośniej, niż na szalejącym świecie, w gardle czuł wzrastający ból, a przez dziury postrzępionego kożucha wdzierało się niemiłosierne zimno. Do tego jeszcze w oczy ciął śnieg, utrudniając orientację. Szedł więc na oślep, bo z dawnej ścieżki, którą zwykle uczęszczał do szkoły, nie pozostało nawet śladu. Przed sobą zaś nie widział nic prócz rozkudłanej kurzawy. Raz po raz potykał się, padał, by zaraz znów wynurzyć się z wydm i iść dalej. Oblepiony szronem i lodem, stał się podobny do jednej bryły śniegu. Chuchał w dłonie, zabijał ręce i brnął ostatkiem sił po bezdrożach. „O, Jezusie mój, ratuj!“, szeptał w kółko, buchając ogromnymi buciskami po mlecznym puchu, zaścielającym ziemię. Porwały go dreszcze. Dzwonił zębami, siadał, chcąc odpocząć nieco, a bezdźwięczne wargi żuły słowa pacierza.

Ucieszył się, spostrzegłszy kępę ośnieżonych krzaków.

„Tutaj przeczekam kurzawę“, pomyślał z radością. Szybko wtulił się między gałęzie, a nie czując już naporu wichru, uśmiechnął się do siebie. Było tu zupełnie ciepło, jak w chałupie. Tylko nad głową przelewał się grzmot rozwścieczonej wichury. Ale co go to mogło obchodzić, że świat się wali, kiedy mu było dobrze, coraz lepiej. Szczelnie okręcił się w kożuch, czapkę wbił na uszy i tak siedział bez ruchu. Gdzieś podział się strach, znikł ból w gardle i ustały dreszcze. Może niedługo uspokoi się burza, a wówczas pójdzie dalej.

Wieczorem znaleziono na zawianej drodze, pod kępą głogów, jałowców i tarniny skostniałe ciało Staśka Jasnocha. Siedział sobie pod gałęziami, jak żywy. Oczy miał przymknięte, za pazuchą podartą książkę, a w konwulsyjnie zaciśniętej garści trzymał nadgryziony kartofel. Na ustach pokrytych szronem, zastygł uśmiech, a ten właśnie najwięcej dziwił plotkujące sąsiadki, ściągające całą gromadą z Topolnicy, Marzenina i aż gdzieś z Zabytowa.

W chałupie Jasnochów wybuchł lament, ale po północy, kiedy już rodzina wypłakała się do syta, ucichło wszystko. Nawet baby porozchodziły się po domach, dając jeszcze na progu swoje rady matce, pochlipującej nad zmarłym.

Stasiek leżał na ławie, zasłanej lnianą płachtą. Miał na sobie czystą koszulę z czerwoną spinką, (tą, którą lubił najlepiej), odświętne ubranie, kupione w Adwencie na jarmarku za trzy złote, i obrazek w rękach. Tylko nogi były bose i brudne i te właśnie psuły paradną całość, uświetnioną jeszcze świecą, nabytą od Motla za cztery jajka, a teraz płonącą, jak podczas wigilijnej wieczerzy. W blasku tej łojówki uśmiech Staśka stał się zupełnie prawdziwy, tak że mała Zośka, obserwując przez łzy umarłego brata, rzekła do matki cicho: „Patrzcie mamo, Stasiek się śmieje!“.

Nazajutrz odbył się pogrzeb. Zwłoki chłopca zamknięto w nieheblowanej skrzyni, zawieziono pod kościół, gdzie ksiądz pokropił „trumnę“, a następnie wrzucono do dołu, wykopanego przez grabarza za złotówkę. Podczas tej ceremonii raz jeszcze polały się łzy i skończyło się wszystko.

Tego dnia w chałupie Jasnochów było cicho. Gospodarz siedział na zydlu pod kominem i kręcił papierosy z orzechowych liści, używając zamiast bibułki ulotek wyborczych, na których można było wyczytać słowa: „Głosujcie tylko na naszą listę kandydatów. Bo my tylko podniesiemy wieś, damy chłopu dobrobyt, a Polsce potęgę“. „Jedna gęba mniej, może da Bóg, że będzie jakoś lżej!“, myślał.

Tylko Zośka mazała się bez ustanku, dodając matce żalu. Tarła pięścią zapuchłe oczy i wciąż wspominała zmarłego. Dostała za to szturchańca od Hanki, ale i to nic nie pomogło. Wreszcie Wojtek nie wytrzymał. Wziął dziewczynę z sobą do sieni.

— Czego beczysz? — pytał ze złością.

— Staśka już nie ma! — odparła popłakując.

— Ale za to masz, głupia, buty! Teraz już dzień w dzień będziesz chodziła do szkoły.

JANUSZ IGNASZEWSKI

# U ŹRÓDEŁ NOWEJ DOKTRYNY POLSKIEGO HUTNICTWA ŻELAZNEGO

Hutnictwo żelazne stanowi w gospodarce polskiej jedną z dziedzin, kładących na działalność sprawozdawczą w ogóle niezwykle wielki nacisk, toteż — zamiast rozpostarcia szeregów liczbowych, które odtwarzałyby całokształt pracy w minionym dwudziestoleciu — wskazane jest raczej zobrazować z tej okazji pewne, szczególnie godne uwagi i zapamiętania fakty, daty i liczby.

Doniosłe wydarzenia polityczne, wśród których kształtowało się i rosło odrodzone Państwo Polskie — zwłaszcza zaś przejęcie w połowie 1922 r. Górnego Śląska, a w październiku 1938 r. Śląska Zaolzańskiego — sprawiły, iż doktryna hutnicza Polski Odrodzonej przechodziła różne fazy, zmierzając stopniowo ku formom wyraźnie skrystalizowanym.

Ideą przewodnią, wpływającą na kształtowanie się tej doktryny, była konieczność uprzemysłowienia kraju, jako najwłaściwsza droga rozwiązywania podstawowych problemów gospodarczo-socjalnych oraz nieodparty nakaz posiadania w kraju silnie rozbudowanego aparatu produkcyjnego dla potrzeb obronnych, które w geopolitycznych warukach Państwa Polskiego muszą wywierać decydujący wpływ na kierunek poczynań gospodarczych.

Byt polskich hut żelaznych był w okresie przedwojennym uzależniony od polityki ekonomicznej trzech wielkich mocarstw, pulsujących odmiennym życiem gospodarczym, różniących się poziomem techniki, skalą potrzeb i sposobami ich zaopatrywania. Włączenie hut w orbitę interesów odrodzonego Państwa Polskiego wyłoniło konieczność dostosowania wytwórczości do zmienionych warunków i stworzenia nowych form organizacji. Proces ów przejawiał się bądź to w postaci przenoszenia zarządów hutniczych na teren Polski, bądź też w postaci fuzyj, umów o wspólnocie interesów, lub porozumień o charakterze specjalnym, bądź wreszcie w drodze powoływania do życia nowych instytucyj, mających na celu organizacyjne scalanie poszczególnych odcinków gospodarki hutniczej.

W parze z przebudową struktury organizacyjnej postępowała techniczna i handlowa racjonalizacja hutnictwa polskiego.

Z ważniejszych poczynań w dziedzinie **racjonalizacji technicznej** na wymienienie zasługują: rozbudowa działów podstawowych dla wytwórczości żelaza, zwłaszcza wprowadzenie nowych metod wzbogacania rud, ulepszenia produkcji koksu i procesu wielkopiecowego, usuwanie przestarzałych urządzeń w stalowniach i walcowniach oraz ich modernizacja, zaprowadzenie nowych instalacyj dla obróbki mechanicznej, wyzyskanie gazów i odpadków, doskonalenie aparatów, umożliwiających oszczędność w paliwie, oraz rozszerzanie zakresu wytwórczości.

Znaczne postępy wypada również zanotować w dziedzinie **racjonalizacji zbytu.** Już samo powołanie do życia organizacji, jednoczącej sprzedaż materiałów walcownianych na całym rynku wewnętrznym, okazało się bardzo celowym posunięciem, które dało hutom i konsumentom szereg poważnych korzyści. Ustalenie **programu walcowania,** obejmującego wszystkie huty polskie, umożliwiło klienteli należytą orientację co do zakresu produkcji, stworzenie zaś jednolitych warunków sprzedaży i uproszczenie wzajemnego porozumienia się hut z klientelą — wpłynęły na przyspieszenie obrotów, a organizacja rynku wprowadziła ład w chaotycznych poprzednio stosunkach, jakie panowały w handlu żelazem.

Skoncentrowanie zbytu stworzyło odpowiednie warunki dla liczbowego ujęcia pojemności rynku wewnętrznego — tak z punktu widzenia terytorialnego, siły konsumcyjnej poszczególnych grup odbiorców — jak wreszcie co do wysokości zapotrzebowania na poszczególne wytwory hutnicze. Bogaty materiał statystyczny, którym dysponują obecnie sfery kierownicze polskiego hutnictwa żelaznego, ułatwia ogromnie analizowanie wszelkich przejawów rynkowych oraz prowadzenie racjonalnej polityki sprzedaży.

Wstępne prace nad częściową racjonalizacją wytwórczości rozpoczęły huty polskie bezpośrednio po podjęciu zorganizowanej współpracy; brak dokładnych materiałów liczbowych uniemożliwiał jednakże gruntowne rozwiązanie tej sprawy, i dopiero **statystyka wymiarów** dała podstawę do ujęcia racjonalizacji wytwórczości na właściwej platformie.

Zobrazowanie wysiłków hutnictwa żelaznego w zakresie racjonalizacji gospodarki nie byłoby zupełne, gdyby pominąć prace w dziedzinie **unormowania** stosunków na odcinku **wywozu,** które po wielu etapach przejściowych, jak: umowy o wzajemnej ochronie terytorialnej, udział hut w Międzynarodowym Syndykacie Rur, umowy z hutnictwem niemieckim — doprowadziły do całkowitego uregulowania tej kwestii, osiągniętego przez przystąpienie polskiego hutnictwa żelaznego do Międzynarodowego Kartelu Stali.

* * *

Pierwszy Prezes Związku Polskich Hut Żelaznych, Inż. Maciej Rogowski, omawiając warunki, w jakich hutnictwo polskie rozpoczęło pracę w ramach odrodzonej Rzeczypospolitej, dał wyraz poglądowi, że w czasie, gdy: „czynem żołnierskim wzbudzone — zaczynało się organizować niezależne Państwo Polskie — ani jeden piec hutniczy nie był czynny. Wskutek bowiem zarządzeń okupantów na

ziemiach, wchodzących w skład ówczesnego Państwa Polskiego, pozostały jedynie kontury zakładów hutniczych; maszyny, urządzenia, składy towarów, zapasy tworzyw i paliwa były zarekwirowane i wywiezione do Niemiec, budynki — zdemolowane. Samej tylko rudy i żużla Niemcy wywieźli z hut polskich — 178 000 ton — ilość, wystarczająca dla utrzymania produkcji w ciągu 4 miesięcy wszystkich wielkich pieców województwa kieleckiego na poziomie produkcji przedwojennej". — Przytoczone powyżej słowa charakteryzują w sposób dobitny stan hutnictwa polskiego w chwili, gdy odrodzone Państwo rozpoczynało swój samodzielny byt polityczny i gospodarczy.

Wytwórczość hutnictwa żelaznego w 1919 r. charakteryzują następujące liczby (w tonach) surówki — 15 214, stali we wlewkach — 17 586, wytworów walcownianych — 16 368. Po przyłączeniu — w połowie 1922 r. Górnego Śląska hutnictwo polskie zwiększyło swój stan posiadania, zyskując szereg wielkich zakładów. Wytwórczość polskiego hutnictwa żelaznego wielokrotnie wzrosła, osiągając w 1923 r. (w tonach): surówki — 516 761, stali we wlewkach — 1 144 692, wytworów walcownianych — 783 692.

* * *

Huty górnośląskie w okresie wojny nie uległy wprawdzie zniszczeniu, jednakże z uwagi na zupełną zmianę warunków ekonomicznych znalazły się w obliczu poważnych zasadniczych trudności. Opanowanie sytuacji można było osiągnąć drogą zapewnienia poszczególnym zakładom należytego zaopatrzenia w niezbędne tworzywa, unormowania stosunków na rynku wewnętrznym i utworzenia zwartego frontu w zakresie zagadnień eksportowych.

W 1920 r. następuje pierwszy krok zespolenia się organizacyjnego, mianowicie, powstaje **Związek Polskich Hut Żelaznych,** który ujął w swe ramy interesy zawodowe zrzeszonych zakładów. Huty górnośląskie i Huta Bankowa przystąpiły do Związku z początkiem 1927 r.

Z problemów gospodarczych hutnictwa na plan pierwszy wysuwała się konieczność uregulowania stosunków na wewnętrznym rynku zbytu, na którym w poszczególnych dzielnicach istniały odmienne metody i zwyczaje kupieckie oraz dalekoidące różnice w charakterze zapotrzebowania na poszczególne materiały.

Największą organizacją, ogniskującą w sobie zbyt wytworów hutniczych, jest powołany do życia z początkiem 1926 r. **Syndykat Polskich Hut Żelaznych,** przekształcony z istniejącego od sierpnia 1925 r. Syndykatu Hut Górnośląskich, a zajmujący się zbytem materiałów walcownianych na rynku wewnętrznym. — Z uwagi na to, iż materiały, objęte umowami Syndykatu Polskich Hut Żelaznych, stanowią lwią część wytworów hutniczych, przeznaczonych na sprzedaż — Syndykatowi Polskich Hut Żelaznych przypadła w udziale rola, przekraczająca znacznie ramy biura sprzedaży, a przede wszystkim zadanie uporządkowania rynku wewnętrznego. Pierwszym tego przejawem było zorganizowanie kupiectwa w oparciu o zasady, obowiązujące w uporządkowanych stosunkach rynkowych, których kośćcem był racjonalny podział handlu na hurtowników, kupiectwo średnie i detalistów, oraz należyte zaopatrzenie składów na całym terenie Rzeczypospolitej. W miarę regulowania warunków na rynku wewnętrznym przeprowadzał Syndykat daleko sięgające zmiany organizacyjne w stosowanych przez się normach sprzedaży — postępując w myśl zasadniczej wytycznej, jaką jest systematyczne dążenie do możliwie największego racjonalnego zbliżenia konsumenta do wytwórcy — przy jednoczesnym przestrzeganiu, aby składy handlowe miały zapewnione zdrowe warunki pracy.

Od początku 1926 r. do dnia 1 X 1938 r. rynek polski przejął za pośrednictwem Syndykatu 4 928 276 t wytworów — nie licząc własnego zapotrzebowania zakładów koncernowych i eksportu pośredniego poza kwotami udziałowymi.

Założone w dniu 1 XII 1927 r. **Biuro Sprzedaży Polskich Walcowni Rur** przeprowadziło przez swą ewidencję od dnia 1 XII 1927 r. do dnia 1 X 1938 r. 379 189 t rur spawanych i bez szwu, gazowych, parowozowych i kotłowych o średnicy do 165 mm, z czego ulokowało na rynku wewnętrznym 182 041 t, pozostałe zaś 197 148 t (czyli o 8,3% więcej od zbytu krajowego) umieściło na rynkach zagranicznych.

Ostatnią wreszcie organizacją zbytu, działającą na rynku wewnętrznym, jest **Towarzystwo dla Sprzedaży Surówki Żelaznej,** które nie obejmuje zapotrzebowania własnego hut i dostaw dla zakładów koncernowych. W skład Towarzystwa wchodziły pierwotnie huta „Pokój" oraz huty: „Królewska" i „Laura", od 1934 r. — ponadto Zakłady „Modrzejów-Handtke" oraz „Huta Bankowa" a od dnia 1 V 1936 r. — Zakłady Starachowickie.

Jedyną organizacją hutniczą,ześrodkowującą w sobie zakup jest **Centrala Zakupu Złomu,** która została założona w grudniu 1926 r. celem należytego zaopatrywania hutnictwa w żelastwo, ujmując w zorganizowane łożysko regularny dopływ do hut tego nieodzownego tworzywa. Centrala należy do „International Scrap Convention" w Londynie, która normuje ceny i podział materiału pomiędzy uczestników porozumienia. Za pośrednictwem Centrali przejęły huty polskie w okresie od dnia 1 I 1927 r. do dnia 1 X 1938 r. 5 764 036 t żelastwa.

Wszystkie polskie zakłady hutnicze są ujęte w ramy spółek akcyjnych, organizacje zaś hutnicze, trudniące się zbytem, względnie zakupem — mają formę spółek z ograniczoną odpowiedzialnością.

Ciałem naukowo - opiniodawczym jest **Rada Stalowa,** powołana do życia uchwałą Rady Nadzorczej Syndykatu Polskich Hut Żelaznych w 1934 r., która współpracuje z Poradnią Stosowania Żelaza (1930 r.); kuźnią poglądów, skupiającą w sobie

osoby z wyższym wykształceniem, pracujące w hutnictwie, jest **Stowarzyszenie Hutników Polskich,** założone w dniu 12 V 1931 r., wyrazicielem wreszcie idei i prądów, reprezentowanych przez zorganizowane hutnictwo, jest wychodzący od 1929 r. **"Hutnik",** miesięcznik polskich organizacyj hutniczych.

Ogólnie biorąc, w okresie minionego dwudziestolecia hutnictwo polskie wytworzyło (w tys. ton): surówki — 8 050, stali — 17 496, wytworów walcownianych — 12 636.

Odrębną — a w naszych warunkach nader ważną — dziedzinę gospodarki hutniczej stanowią **zagadnienia eksportowe.** Usiłowania, zmierzające do stworzenia wspólnego frontu w zakresie polityki wywozowej hutnictwa polskiego — jakkolwiek od początku spotykały się zarówno w sferach rządowych, jak i hutniczych z dużym zrozumieniem — przez długi okres czasu nie doprowadzały do pozytywnych wyników. Powołany do życia w maju 1926 r. **Związek Eksportowy Polskich Hut Żelaznych,** miał początkowo na celu jedynie przeprowadzanie ewidencji wywozu hutniczego i wydawanie zaświadczeń eksportowych w odniesieniu do transakcyj, korzystających ze zwrotu cła (wprowadzonego od dnia 19 VII 1926 r.), a dokonywanych przez poszczególne zakłady hutnicze we własnym zakresie. Dopiero po szeregu przykrych doświadczeń, poczynionych przez huty na rynkach eksportowych, kiedy okazało się, że zorganizowanym eksporterom zagranicznym może się skutecznie przeciwstawić tylko zorganizowane hutnictwo polskie — doszło w marcu 1935 r. do utworzenia **Komitetu Eksportowego Polskich Hut Żelaznych,** w skład którego weszli przedstawiciele wszystkich hut eksportujących. Związek Eksportowy Polskich Hut Żelaznych został wówczas przeniesiony z Warszawy do Katowic i podjął jednolitą działalność w zakresie polityki wywozowej hutnictwa. Począwszy od dnia 1 VII 1936 r. instytucja ta zmieniła zasadniczo charakter na syndykat wywozowy, gdyż od tego czasu prowadzi wszystkie czynności, związane z wywozem — oprócz samej sprzedaży, fakturowania i inkasa. Wymienionymi ostatnio czynnościami zajmuje się od dnia 1 V 1935 r. **Polski Eksport Żelaza,** który prawie całkowicie przejął od poszczególnych zakładów gestię w dziale wywozu hutniczego. Obie organizacje wywozowe są ze sobą powiązane węzłami ścisłej współpracy.

Po długotrwałych rokowaniach i uciążliwej walce konkurencyjnej hutnictwo polskie weszło definitywnie od dnia 1 I 1936 r. w skład **Międzynarodowego Kartelu Stali,** uzyskując w poszczególnych grupach wytworów kwoty, odpowiadające zarówno stanowisku w rzędzie zrzeszonych producentów, jak i rzeczywistym potrzebom w tej dziedzinie.

Ze światem zagranicznych producentów jest hutnictwo polskie związane, należąc do wszystkich, wchodzących w rachubę, porozumień kartelowych o charakterze międzynarodowym; łączą je ponadto umowy z Czecho-Słowacją i Węgrami — o wzajemnej ochronie terytorialnej, a z Niemcami — umowa kontyngentowa, normująca przywóz i wywóz.

Wywóz wytworów hutniczych, podlegający znacznym fluktuacjom — zależnie od układu stosunków politycznych i gospodarczych w świecie — wymaga stale bacznej uwagi — celem dostosowywania polityki do nieprzerwanie zmieniających się warunków na poszczególnych rynkach eksportowych. Jednym z najświeższych tego przykładów jest nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Litwą, nie posiadającą hutnictwa żelaznego, co do której istnieją przesłanki, iż przy pomyślnym układzie wzajemnych stosunków gospodarczych hutnictwo polskie będzie mogło uczestniczyć w zaspakajaniu potrzeb rynku litewskiego, które szacowane są na 40 tys. ton żelaza rocznie łącznej wartości ok. zł 10 milionów.

* * *

Osobną kartę w dziejach hutnictwa żelaznego na ziemiach odrodzonej Rzeczypospolitej poświęcić wypada licznym osiągnięciom, uzyskanym w ciągu ostatnich dwóch lat, obfitujących w doniosłej wagi wydarzenia, które niewątpliwie pociągną za sobą poważne skutki w odniesieniu do samego hutnictwa żelaznego, powodując ponadto głębokie przeobrażenia strukturalne w całokształcie życia gospodarczego Polski.

Ogromnym wysiłkiem i znacznym nakładem finansowym hut została pchnięta na nowe tory gospodarka surowcowa — tak w dziedzinie rozbudowy krajowych **kopalń rud żelaznych,** jak również przez zrealizowaną już inicjatywę grupy polskiej co do utworzenia **Międzynarodowej Konwencji Złomowej.** Ważnym ogniwem w łańcuchu poczynań czynników oficjalnych na odcinku zaopatrywania hut w surowce krajowe była gruntowna reorganizacja Państwowego Instytutu Geologicznego, ostatnio zaś powołanie do życia Biura





Surowcowego przy Ministerstwie Przemysłu i Handlu, któremu powierzona została piecza nad całokształtem zagadnień surowców przemysłowych w Polsce.

W 1937 r. podjęta została na szerokim froncie akcja uprzemysławiania kraju, która znalazła szczególnie dobitny wyraz w rozbudowie Centralnego Okręgu Przemysłowego, stanowiącego w swym założeniu powiązanie zainteresowań natury czysto gospodarczej z głęboko pojętymi wymogami obronności kraju.

Na terenie Centralnego Okręgu Przemysłowego powstały wielkie zakłady hutnicze, obliczone głównie na wytwórczość stali szlachetnej, oraz szereg warsztatów żelazo - przeróbczych, których samo powołanie do życia stanowi poważny krok naprzód w pracy nad **strukturalnym pogłębieniem rynku polskiego.** Zakłady te nie stanowią konkurencji dla istniejącego już przemysłu, lecz — przeciwnie — będąc kontynuacją procesu wytwórczego przemysłu kluczowego, przyczyniają się do zwiększenia możliwości zbytu i ułatwiają zatrudnienie wielu tysięcy rąk roboczych — podobnie, jak np. w Niemczech, wytwarzających 10-krotnie więcej stali aniżeli Polska, Zakłady „Hermann Goering“ w żadnej mierze nie zagrażają umniejszeniem stanowiska przemysłu nadreńsko-westfalskiego w gospodarce Rzeszy Niemieckiej.

Jak wynika z przytoczonych liczb i faktów, w miarę rozrostu potęgi gospodarczej i politycznej Rzeczypospolitej zwiększają się rozmiary i wzrasta **znaczenie hutnictwa żelaznego Polski,** równocześnie zaś powiększa się kompleks zagadnień, wywierających wpływ na kształtowanie się sytuacji tej kluczowej gałęzi przemysłu. W tych warunkach naturalną konsekwencją i uwieńczeniem wysiłków organizacyjnych hutnictwa było powołanie do życia z dniem 1 VII 1938 r. **Naczelnej Organizacji Hutnictwa Żelaznego,** która — podobnie jak analogiczna instytucja w Anglii — ma przede wszystkim na celu — w odniesieniu do hutnictwa, jako całości — planowanie, koordynowanie i racjonalizację działalności przedsiębiorstw hutniczych oraz ich organizacji.

Włączenie **hut zaolzańskich** w ramy Państwa Polskiego rozszerzyło zasiąg wytwórczości i roztoczyło nowe perspektywy rozwojowe, wzmacniając wydatnie pozycję Polski na światowym rynku stali, jednocześnie jednak wytworzyło zupełnie nową sytuację, do której hutnictwo polskie musi się stopniowo przystosować. Znakomite wyposażenie techniczne świeżo przejętych przez Polskę zakładów trzynieckich stanowić winno punkt wyjścia do poświęcenia bacznej uwagi problemowi inwestycyj i związanemu z nim ściśle zagadnieniu amortyzacji urządzeń w hutnictwie żelaznym. Zakłady trzynieckie, położone na Śląsku Zaolzańskim, który zdołał całą wojnę światową przetrwać nieuszkodzenie — i które właśnie w czasie wojny światowej przeżywały okres świetnego rozwoju — zajęły nieporównanie silniejszą pozycję w utworzonym po wojnie państwie Czecho-Słowacji aniżeli w Polsce zakłady hutnicze, wymagające gruntownego remontu. Z biegiem lat zaostrzyły się jeszcze rozbieżności w ewolucji gospodarki hutniczej pomiędzy Zaolziem a resztą Polski, skutkiem czego proces modernizacji urządzeń technicznych, który w zakładach trzynieckich przybrał niezwykle silne tempo, osiągnął w innych hutach polskich znacznie słabsze natężenie. Dzięki przyłączeniu hut zaolzańskich wytwórczość polska zwiększa się o 700 tys. ton stali rocznie, skutkiem czego w międzynarodowym zespole wytwórców stali wysunęła się Polska przed Czecho-Słowację i zrównała się niemal z Włochami.

* * *

Obecny aparat wytwórczy Polski w zakresie hutnictwa, licząc według przeciętnych norm europejskich, wystarcza zaledwie na pokrycie zapotrzebowania, które nie występuje w rzeczywistości częstokroć ze względu na słabą siłę nabywczą kraju, spowodowaną długoletnim zaniedbaniem gospodarczym ziem polskich w okresie przed odzyskaniem niepodległości. Z biegiem czasu zapotrzebowanie na żelazo wystąpi niewątpliwie w stopniu znacznie silniejszym, aniżeli to ma miejsce obecnie, co uzasadnia w poważnej mierze dążność do rozbudowy istniejących zakładów i powiększania ich pogotowia wytwórczego. Dla tego celu nie wystarczy jednakże sama rozbudowa urządzeń. Warsztaty muszą być zatrudnione — i to możliwie w pełnej mierze, co znowu wymaga dowozu dużych ilości tworzyw z zagranicy, obciążających poważnie bilans płatniczy Państwa. Uwzględniając, że wytwórczość hutnicza przekracza, niekiedy nawet znacznie, zapotrzebowanie wewnętrzne — stwierdzić należy, że racjonalna gospodarka dewizowa hutnictwa wymaga, ażeby należytości za tworzywa, sprowadzane z zagranicy, były pokrywane dewizami, uzyskiwanymi z wywozu wytworów gotowych hu-



## P. TOMASZ KOWALCZYK

Prezes Sokoła Dzielnicy Śląskiej
Dyrektor Banku Tow. Wzajemnych Ubezpieczeń
„VESTA" S. A.
Oddział w Katowicach

został odznaczony złotym krzyżem zasługi za wybitną działalność na polu społecznym.

---

tnictwa i przemysłu żelazo-przeróbczego.

W opisanych warunkach zarówno Rząd, jak i sfery hutnicze przykładają szczególną wagę do rozwiązania problemu zaopatrywania zakładów hutniczych w możliwie największym stopniu w surowce pochodzenia krajowego. Wyniki, uzyskane w tym względzie w okresie dwudziestolecia, są już poważne, jednakże konieczność dowozu tworzyw zagranicznych istnieje i zapewne przez długie jeszcze lata będzie stanowiła jedno z zasadniczych zagadnień polskiej gospodarki hutniczej.

* * *

Chwila, w której pancerne oddziały wojsk polskich, zajmujące Śląsk Zaolzański dotarły do brzegów Odry, nieprzeparcie nasuwa myśl o tym, że ongiś Bolesław Chrobry żelaznymi — jak głoszą podania — palami, wbijanymi w nurty Odry i Sali, znaczył granice zachodnie Polski, a Szczerbcem zakreślał swe władanie nad Kijowem. Król Zygmunt III, oblegając Smoleńsk, zaopatrywał swe rycerstwo w szyszaki, pancerze, broń palną i inny rynsztunek wojenny z polskich zakładów żelaznych, przez polskich wykonywany płatnerzy z wyraźnym świadectwem pochodzenia w postaci napisu: „Polonus me fecit" i podobnych. Gdy wreszcie pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski wyrąbał mieczem granice Państwa, hutnictwo żelazne odrodzonej Rzeczypospolitej znalazło się wobec nowych perspektyw, stwarzających przesłanki do rozkwitu tej podstawowej gałęzi wytwórczości, związanej jak najściślej z mocarstwowym stanowiskiem Polski.

Dzieje Państwa Polskiego uczą, iż od ich zarania poprzez wieki całe i w chwili obecnej władanie żelazem gruntowało potęgę Rzeczypospolitej. Słusznie zaznaczył Wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski w przemówieniu, wygłoszonym dnia 30 X 1938 r. w Poznaniu, że **„polityka i gospodarstwo ponownie stanowią jeden nierozerwalny splot, jeden motor, który posuwa narody w przód i w tył. —** Tak było nieraz i w przeszłości, a momenty te właśnie w Polsce nie były należycie wyzyskane".

Oby dalsze losy polskiego hutnictwa żelaznego, które w ciągu pierwszego dwudziestolecia odrodzonego Państwa podniosło się z upadku do nowego życia, stały się chlubnym świadectwem polskiej polityki gospodarczej, przysparzając Polsce nowych bogactw i gruntując Jej potęgę.

# WIADOMOŚCI GOSPODARCZE

Polski Eksport Żelaza Sp. z o. o. w Katowicach, ul. Lompy 14, założony został w r. 1926 i działalność jego ograniczała się do eksportu produktów walcowniancyh, pochodzących z hut koncernu Wspólnoty Interesów Górniczo-Hutniczych S. A. w Katowicach.

W maju r. 1935 utworzona zostaje organizacja eksportu wyrobów walcownianych całego hutnictwa polskiego, zrzeszonego w Związku Eksportowym Polskich Hut Żelaznych Sp. z o. o., będącym zarazem reprezentantem grupy polskiej na terenie karteli międzynarodowych. W organizacji tej P. E. Ż. posiada wyłączne prawo sprzedaży zagranicznej na zasadzie umowy komisowej i na własny rachunek następujących przedsiębiorstw:

Wspólnota Interesów Górniczo-Hutniczych S. A. w Katowicach.

Śląskie Zakłady Górniczo-Hutni-

cze „Huta Pokój" S. A. w Katowicach.

Zjednoczone Zakłady Górniczo-Hutnicze „Modrzejów Hantke" S. A. w Sosnowcu.

Towarzystwo Akcyjne Zakładów Hutniczych „Huta Bankowa" S. A. w Dąbrowie Górniczej.

Towarzystwo Sosnowieckich Fabryk Rur i Żelaza S. A. w Sosnowcu.

Sp. Akc. Wielkich Pieców i Zakładów Ostrowieckich, Ostrowiec.

Tow. Starachowickich Zakładów Górniczych S. A. w Warszawie.

Polski Eksport Żelaza jest również przedstawicielem Biura Sprzedaży Polskich Walcowni Rur Sp. z o. o. w Katowicach na kraje zamorskie i posiada umowy komisowe z różnymi fabrykami drutu i gwoździ na sprzedaż eksportową.

Coraz większy zakres działalności P. E. Ż., obejmujący obecnie 45 rynków sprzedaży, posiadanie 30 przedstawicielstw w krajach Europy i zamorskich, w tym Oddział w Hamburgu „Polski Eksport Żelaza" Sp. z o. o., Hamburg I, Alsterdamm 8, jako też własne firmy w Holandii N. V. Poolsche Yzer Export Maatschappij, s'Gravenhage, Koninginnegracht 42 i Argentynie „Copomet" Productos Metalurgicos de Polonia, Buenos Aires, Diagonal Norte 788, a wkrótce własne przedstawicielstwa w Brazylii i na Litwie wskazują na rozwój działalności tej placówki gospodarczej Polski.

Potwierdza to zwiększenie obrotów w ostatnich latach i tak r. 1937 wykazał w porównaniu z r. 1936 wzrost tonażu wyeksportowanego o 22,9%, gdy sprzedaż na rynkach eksportowych świata wzrosła o 16,3 proc. W r. 1937 Polski Eksport Żelaza rozpoczął też działalność importową, a mianowicie zajął się importem złomu żeliwnego i rud żelaznych.

Eksport kierowany jest przeważnie drogą morską przez Gdynię, co stanowi 71% wysyłek pierwszych 3 kwartałów r. 1938, a bandera polska zajmuje 2 miejsce, reprezentując 28% transportów żelaza.

Zdobywanie nowych rynków zbytu, mimo dużej konkurencji zagranicznej, zwiększający się z roku na rok tonaż wyeksportowanych produktów walcownianych, rozszerzenie działalności na import surowców hutniczych, wskazuje na stały rozwój Polskiego Eksportu Żelaza.

Przyłączenie Śląska Zaolzańskiego z jego zakładami hutniczymi stawia przede wszystkim przed Polskim Eksportem Żelaza, jako organizacją eksportową nowe zadania.

**J. Raczyński.**

**Następujące Instytucje i Firmy poparły „Polskę Współczesną"**

| | |
|---|---|
| A. C. G. Powszechne Towarzystwo Elektryczne | Rybnickie Gwarectwo Węglowe |
| Gasaccumulator S. A. | „Kaloryfer" Fabryka Urządzeń Higienicznych i aparatów |
| Union Textile S. A. | „Dezyrat" Spółka Sprzedaży Produktów Smołowcowych |
| W. Skiba i A. Wyporek S. A. | „Towarzystwo Akcyjne Przem. Włóknistego" Société Anonyme de l'Industrie Textile |
| Biuro Sprzedaży Polskich Walcowni Rur | Śląskie Zakłady Górniczo Hutnicze „Huta Pokój" S. A. |
| Fabryka Celulozy i Papieru „Natronag" S. A. | Śląskie Zakłady Górniczo Hutnicze „Huta Pokój" S. A. |

Konc. Przedsiębiorstwo Autobusowe wł. Ignacy Kasprowicz w Sosnowcu prowadzi linię swoją od Będzina po przez Sosnowiec—Jaworzno—Chrzanów—Krzeszowice do Krakowa i drugim odgałęzieniem od Będzina przez Dąbrowę Górniczą—Zagórze i Dandówkę do Krakowa.

Linia uruchomiona została w marcu 1938 r. i posiada obecnie sześć autobusów „Chevrolet" 30-osobowych, sześć autobusów „Polski Fiat" 22-osobowych oraz samochód ciężarowy gospodarczo-ratunkowy.

Autobusy wewnątrz utrzymane w stanie czystym i świeżym, umilają podróżnym przejazd. — Zewnętrzna forma estetyczna, barwy utrzymane harmonijnie: siwo-zielone tło, amarantowe błotniki, środkiem karoserii biegnie amarantowy pas, na tle którego umieszczono napisy wypukłe chromo-niklowe, co daje bardzo ładny efekt.

Przedsiębiorstwo zatrudnia 46 pracowników: administracyjnych, liniowych i garażowych.

Obsługa na linii inteligentna, dobrze wyszkolona, wzorowo spełnia swe obowiązki.

Całość przedsiębiorstwa prowadzona celowo i zdecydowanie w sposób na wskroś nowoczesny i to pod każdym względem.

Jak nas informują, przedsiębiorstwo nosi charakter rozwojowego i w najbliższym czasie uruchomić ma dalsze odgałęzienie linii aż do Zawiercia włącznie.




Wydawca i redaktor Jan F. Piskor. — Współpracownik graficzny Otto Swoboda. — Drukarnia Polska Fr. Zemanka w Krakowie. Centrala Wydawnictwa: Kraków, Michałowskiego 11/8. — Konto P. K. O. 412-111.

Prenumerata roczna w Polsce z wysyłką pocztową 6·50 zł — luksusowa 25 zł. Za granice dolicza się odpowiednie koszta wysyłki dla poszczególnych krajów. — Ceny ogłoszeń: 1/1 str. 600 zł — 1/2 350 zł — 1/4 200 zł.

## Dlaczego należy oszczędzać

# w KOMUNALNEJ KASIE OSZCZĘDNOŚCI

## MIASTA LWOWA

### ulica Wałowa 7 i 9 oraz w jej oddziałach

**ul. Gródecka 60, Żółkiewska 75 i Łyczakowska 55.**

Dlatego, że:

**Oszczędności** złożone w M. K. K. O. we Lwowie posiadają charakter funduszów ulokowanych z bezpieczeństwem prawnym (pupilarnym) i będą przyjmowane przez państwowe względnie komunalne władze i zakłady jako wadia przy wszelkich przetargach, jako kaucje akcyzowe, jako kaucje przy zawieraniu umów oraz jako zabezpieczenie pieniężne z innych tytułów.

**Wszyscy** pracownicy Kasy są obowiązani do zachowania bezwzględnej tajemnicy co do nazwisk wkładców i wysokości ulokowanych oszczędności.

**Oszczędności** złożone na książeczkach M. K. K. O. we Lwowie są zwolnione od zajęcia do wysokości zł 2.500.

**Wydaje** książeczki oszczędnościowo-turystyczne płatne w Komunalnych Kasach Oszczędności na całym terenie Rzeczypospolitej Polskiej.

**Za wkładki** i ich oprocentowanie ręczy Gmina m. Lwowa całym swym majątkiem.

**Fundusze rezerwowe** Kasy wynoszą zł 6.400.000.

**Kasa** przyjmuje wkładki począwszy od 1 zł codziennie od godz. 8-13 i od 17-19½.

A więc

**Bądź przezornym** i lokuj oszczędności w M. K. K. O. we Lwowie, gdzie pieniądze Twe zabezpieczone są całym majątkiem Miasta Lwowa.

**Bądź mądrym!** bo oszczędzając w M. K. K. O. we Lwowie pomnażasz bez żadnego wysiłku złożone i procentujące się pieniądze.

**Bądź przewidującym!** bo grosz zaoszczędzony daje ci pewność, że w potrzebie nie będziesz musiał oglądać się na pomoc innych, a możność każdorazowego ich wycofania daje niezależność.

**Bądź czynnym i dobrym obywatelem!** miasta Lwowa z którego dobrodziejstw na każdym kroku korzystasz, — bo grosz Twój zaoszczędzony idzie na ożywienie ruchu gospodarczego naszego miasta i wraca w tej czy w innej formie do Twej kieszeni, Twoich najbliższych czy też znajomych.

**Buduj przyszłość!** własną i miasta — oszczędzając

**w M. K. K. O. we Lwowie.**